

Ojczyzna droga, Polsko ukochana  
 W 39-tym latach krmig zalana,  
 Nie dosc' ze Polske na pdt rozetnali  
 Jesure Polalioo na Sybir mygnali  
     Dziesiaty luty bedniem pamistali  
     Przyšli Somieci gdyśmy jesure spali.  
     I nasre dzieci na souie wsadchili,  
     Na glowne stacje nas poprowadchili  
 Ostraszna chwilo, o straszna godzino.  
 A ciotniek bolu tego nie zapomni  
 Ale nam i tej nie zapomnac' chwili,  
 Gdy nas w ciemny wagon jak u trumny wsadchili  
     O, zegnaj Polsko, zegnaj Matko mila  
     Zegnaj o ziemio, któnas' nas zycita  
     Zegnaj stonowko i gwarzdy zlociste  
     My odjezdramy ze ziemi ojczystej.  
 Czekny dni polsku ziemie my jechali,  
 Choć my ja tyllis przez sypany zegnali.  
 W piety dni si somiecha masyna mylensta  
 Jakoby kwardego sityletem przesyla  
     Mijaja doby, tygodnie mijaja  
     Raz na dni si wody i chleba nam daja  
     Mijamy Rosjs i gdny Urale  
     I tak jedniemy dalej coraz dalej  
 Czwartego marca stansta masyna  
 Juz transport z nami inny si zacyna

Jechiemy autem, a potem sami  
Przez śnieżne tajgi niehami, lasami

O, strasna była nasza karawana.

Kłopotu rody dawali co rana

Dzieci zmarznięte z saní wypadały

A na nodogach umarli zostają

O, Polsko nasza, niemo nasza święta

Gdzie Troje syny, gdzie Troje orłota?

Drusiej w sybirskiej tajgi przyjechali,

Czy Ciebie będą jeszcze oglądali?

Jesteśmy sami, straż nas opuściła

Bo cóż tu będzie było nas robota.

Świat nam ramieniemy, hrozdnie las i dżesse

Nawet ptaszyna nam tu nie raśnie.

Stonieszko wtote smutno nas witato,

Gdy do baraku z rana zagłędato.

Dnie białe skrywkli sosnami ubraue,

Nad nimi matki ulgę raptakauue.

Zimno i śniegi, strasna w lesie praca

J tężnota cięgle nas przygniata.

Tyfus okrutny wśród ludzi się szery

Coner to więcej pod sosnami lesy.

Choć przyszła wiosna, stójce rażabniato

Lez u nas wcale nie powesełato.

Tyżko po deni slychać głos ptaczący

Zlituj się Jeru w Ogrojau mdlejący.

- Bukaulshia Mania z d. Ankwosha
- Demuruk Stefania z d. Ankwosha

Mania Bukaulshia: Jesteśmy siostrami. Nasi rodzice pochodzili z re-  
sionskiego województwa. Po tamtej wojnie, w 1921r. wyjechali na  
wschód do województwa tarnopolskiego, do powiatu buczackiego  
Tam się osiedlili. Tam my się urodziliśmy. Rodzina składała się  
z osiem osób: rodzice i sześciu dzieci: 2 siostry, 4 bracia.  
W 39-ym wybuchła wojna. Przyszli do nas Ruskie. Brat pra-  
cował w szlupie, w kółku rolniczym. Przyszli do domu na obiad  
i z powrotem szli do szlupy przez pola, bo było bliżej. A tu nagle  
udała ruska rozmiłka - trzech na koniach także główną drogą.  
Zobaczyli, że on ma na głowie czapkę strzelczą.

Stefania Demuruk: Musieli mieć łomchę, bo to kawał było drogi.

M. B.: Ojciec siedział w siodle na koniu i ten Ruski powiedział do  
tatusia: Zdrastujcie i dopiero my się dowiedzieli, że to są Ruskie,  
bo tak to my nie mieli, jakie to wojło. Wtedy ojciec z matką szyb-  
ko polecieł, bo zrozumieli, że ten na koniu za bratem [pognął].  
Chcieli do niego strzelać, wócali: stój do niego, a on się nie  
ogłodał. Ale nie strzelili. Tak było. Przyszli te Ruskie - wojny  
zadanej nam nie było i byli sobie jeszcze dalej jeździli, bo aż  
do Buga. Myśmy mieszkali jeszcze wtedy do 10 lutego 1940r. Wtedy  
przyszli dwa Ruskie wojshowe i jeden Młecimiec. To była chyba  
pięta gochima. Ciężno było, mroź miłki. Pukła ktoś. Pamiętam  
mamusia poszła otworzyć. Wszyscy nas pobudili i do jednego  
łóżka. Tak jak my byli - w kasulach, a ciemno także było. Jeden  
trzymał karabin z bagnietem, a jeden chodził i szukał meża.

S. D.: Residowali. Ojciec był w nocnej białiznie i to szukali broni.

Ojciec był chory, trupał się. Brat miał srenasie lat i ten kłoto niego

sukali bronii.

M.B.: Wrogie sukali. Pod obrarami, na strychu i my musieli w łę-  
ce stać uszyty. Nikt się nie miał prawa ruszyć i tak to piłę trzymać.  
Wrogacy musieli stać w łęce i dzieci malutkie. Kiedy już się rozwidliło  
wyciągnął taki arkusz i wycytał wyrok, że my mamy się zabierać  
z domu. Dla swojej rodzinny braci na miesiąc zysność. Do-  
pięto wtedy widziemy, że sami za samiami stoją.

S.D.: Ojciec chory był. Nasza siostra wyszła za męża na drugą stronę  
i doradziła się - ktoś dał znać - że nas wyrzucą. Siostra przybiegła  
i chciała, żeby ojca zostawić. Ruski żołnierz powiedział, że soniednie  
lekarze go mylą. Już się coś domyślali, że nas wyrzucą - no, nie na  
Sybir, bo kto tam myślał o Sybirze. Także mi pozwolili tatuścia  
wziąć. Jeszcze mieliśmy takie ubranie - lepsze, strzykane wyszycione  
do siostry. Bo jeden Ukraińczyk, taki przyjaciel ojca, przyszedł na je-  
sieni poradzić: Ankorowi, w tej chwili nie bójcie się. Wasz stół będzie  
wyrzucić. Jak macie coś lepszego, bo meum robione, czy obrabuje, to  
zaprowadzić to do córki, którą czy chce, coś lepszego do ubrania  
ja to państwu, bo byłam przy tej rozprawie - przechowajcie tam.  
Jawna wioska to nie byli kolonisci. Tam byli z rodu wódz Polacy  
Ojciec tak zrobił, ale potem cicho, spokojnie.

M.B.: Siostra przyniosła te rzeczy, kiedy nas zabierali.

S.D.: To ubranie ratowało nas od zagłady śmiertelnej, bo bylibyśmy z gło-  
du pomarli. A tak matka wnosila po jaśniejszych rzeczach do tych ruskich  
kotłozmichów i zawsze tam zamieszkała na miszę czy między ziem-  
niach, trochę mogli zobaczyć.

M.B.: Jak się rozwidliło, to na samie idło Kuruciatywnia na stację. Wsa-  
chili do wagonu. Zabili drzwi i okna i tak nas wzięli. Ciemno było,  
nie widzieliśmy, w którą stronę jedliśmy. Straż nas wzięła.

S.D.: Przyjeżdżamy po jednej stronie i po drugiej z desek dla drzew.

M.B.: Starsi to nie mieli nawet przyjeżdżać. Jak nas przyjeżdżali do Husiatynia, to nas przetransportowali do ruskich wagonów. Z dwóch małych polskich do jednego dużego ruskiego. Te wagony masywne są pulchawy. I tak nas mieli jak w tej piśnience.

S.D.: Mężczyźni już wiedzieli, że to do Rosji, bo syny podobnie były sierose od naszych. To już wiedzieli, że jedziemy w głąb Rosji.

M.B.: Ale nie wiedzieliśmy, gdzie. Kłóży nas chcieli dohomoty. Już byliśmy w Nowosybirsku [duch] oddzielali goździki i jedna deska odpadła, i mogli już trochę zagłębiać, jak otworzyli okno. Jedna pała umiała po rusku mówić i wypytała, gdzie my jesteśmy, bo mówią, że nas wiozą na Sybir. Kolejną mówiła, że już dawno w Sybir. Później to już był Nowosybirsk, a jak minęliśmy górę Urele to już był Sybir. Później przyjeżdżali nas do Kantska, a potem na samochody i zawarli po tej Syberii. Jednych jeszcze dalej, bo jeszcze samiami jechali, a nas zastanowili tu bliżej. Jak my przyjeżdżaliśmy, to było ósmego marca, to nie wiedzieliśmy czy to las, a tu pole jakies, bo to ramanizje. A to była taka rzeka, szeroka na kilometr. To był las i leżała tej rzeki i tyle.

Potem dopiero w maju ruszyła ta rzeka. Jakie były straszne, wody. Zanim trzeba było iść do pracy. Parę dni i Polanków wyganiają do pracy. Jaką ta praca była - do lasu. Ja miałam 14 lat i już musiałam z mamą iść do pracy, bo takis był chory.

S.D.: Brat poszedł tyllis trzy dni do pracy i zachorował, bo się przegrzbit okrutnie na tych samochodach.

M.B.: Jechaliśmy nim chcieli dni. Nocowali w Janiejewie.

S.D.: Brat chorował strasznie. Wysecht tak, jak to w Osińskim porównują. Pod melancem robił mu się wród ogromny i potem psuł. Wylato się, bo przecież przegrzbit drzew. Ale pracować nie mógł, przecież

cały czas chorował. Potem na wojnę poszedł. Dostał się do niemieckiej  
a potem za granicę do Anglii dostał się. Także została matka z nami -  
wszystko mieliśmy same dzieci. Po mnie było jeszcze trzech braci. Najmłodszy miał  
trzy lata. Strasznie. Ja musiałam pomagać. Mama była w łos z siostrą. A Ruskie  
jeszcze tak strasznie oszukiwali. Dali trzy czy pięć rubli na tydzień, a zero dopięty  
wali. Hęć tyłko dług i dług. Tyłko zaliczkę dawali. Nigdy nie było żadnej  
mąptaty. Nikt się na tym nie znał. Aż dopiero później mężczyźni się na  
tym poznali, ale zabrali ich na wojnę. Zostały same kobiety z dzieć-  
mi i dwóch ludzi. Mnie pięć kilo chleba dawali, a Dolek i Jacek dos-  
tawali po 20, bo oni byli dziećmi całkiem małymi. Brat miał 11  
lat i też szedł do. Palili się, zarabiali i dostawali normę chleba.  
Ja też dostawałam normę jak robotnik, ale jak nosiłam jałocdy  
cramer. Ale trzeba było iść 10-15 kilometrów do tego lasu po-  
śród lasodach, Hęćdzie drewno gnieją. Mudy, komany. Citońki  
się na świąt mi pokazali tak, każdy miał uszyte z płótkie  
siatkę na trzech przegranych pasem. Drugie każdy miał na pa-  
sem w buteleczce - trzeba było ręce wysmarować i trwać. Bo jech  
się musiała gdzieś dostać, to wyszło do żywego.

M.B.: Jacek miał takie pogryzione uszy, że aż mu ropiały. Dzieci  
nie miały siatek.

S.D.: W mocy niemożliwe było opad. Raz że gdzieś dopiękat chwie-  
lenie. Ja o niczym innym się nie myślało tyłko o jedzeniu.  
zeby raz do syta najedł się. Po prostu cioterek nie rozumiał co  
to znaczy do syta najedł się. I plusowy i komany, i uszy. Wszystko  
gnębito ciotkiem, gnieło po nocach, choć matka natowela jele mogła  
gotowała te smaty. To już mi było wiadomo, które to właśnie i tyle  
było tat. Łata przytacie. Niektóry tak chichotali, że z jaluiego  
wroha syli. Maryśka Kaptanowa miała przez 2 worka sukienkę.

Straszna bieda była, straszna. Jego nie można opowiedzieć, a nie wiem czy i opisać, Na Ruskich nie można narzekać. Tak, wadzą osu-  
kniata, Ale ci wszyscy, zwykli to sami zesłańcy. Oni byli tam już  
po 13 lat. Jak ich tam przymieźli na Sybir to pod gołe niebo. Mówią:  
Jo wam i tak dobrze, że do baraków. A w tych barakach to było tak  
zimno. Bo to mchem bellu poupychane. Piec ogromny na środku.  
Zimno takie było, że tyłko kocioł pieca ciepło. Jak była rodzina duża  
to drzwi przyse, jak mała jedna. Same takie deski. Dużo było tych  
rodzin.

M.B.: Była bratowa - Katarzyna Anhowska, myśmy były, Złobichie

S.D.: Dni rodziny ukraińskiej. Potem nas dali cztery kilometry dalej.

Tam każda rodzina miała takie swoje niy-poumierzenie. Tak  
trochę deszawki odchudzone, popneopadane. Jmrdz -40°C i więcej  
i śnieg straszny. Butoś nie było. Tyłko jak szli do pracy to do-  
stawali te malonki i kufajki, a ci w domu to nic. Ja miałam ze  
sznurów zrobione takim supełkiem z drewna papcie - takie buty  
miałam.

M.B.: Nie tyłko ty takie miałaś, bo i Ruskie w takich chodzą. Wzrostowi  
owinął nogi i musiał iść do pracy, bo malonek nie było. Okręcali wot-  
kami, a później na to te kapcie ze sznurów.

S.D.: Tam tyłko trzy miesiące lato było i zboże wzrostu - pnieca, owies.  
Jo my dzieci na wiosnę chodziliśmy po tych stogach, bo zboże  
tyłko w stogach. Zbierały my te kłosy. Każda robiła sobie taką  
stępkę mydlubaną i tak my flubły ten owies. Matka miała to w garnku  
i taki barszcz był. Kradnie było, to przecież ości. Jo była zupa. Jesure  
ziemniaka jednego, dwa w supinach - tam miłt mi obręci. Potarla  
matarce i do wody. Postne, bez mleka, bez tłuszczu. Tam miłt tłu-  
szcu mi widział. Dopiero jak nam Ameryka rok czy ile ten [pro-

magata]. Ale ile my tam dostali, to Ruskie wiecej zabrali niz my dostali.

M.B.: Był u nas taki mąż zaurfania. Jeszchit on chyba do Jenisejskie potedany. On był krawcem, to z takich kocio był ubrania dzieciom. Były trefniki przyroził, szulienki, żeby te dzieci polskie trochę ubrać.

S.D.: Latem było bardzo dużo grzybów, grzybnie maślanów. Chleba to się nie widziato, bo nieraz po całym tygodniu nie było za co wylupić i masza norma chleba przepadala. Jak nieraz mama dostala zalinę, poslam do sklepu po chleb, to tak blagatam: Tiotia, pribawtie kusorek - sklepowca była znajoma - żeby choć taki kawałek dopuścić do tej normy. To ja już to zjadlam, żeby tej normy nie ruszyć, przynieść do domu. Bo choć byłam dzieckiem rozumiałam, że matka tak starannie mygładala, że już niepodobna była do ciotkiha - taka chuda. Markita się, że była chuda, wonysho drobne i gład. Nie było nic. Zgin' ciotkiha - nie ma żeby było do jedzenia. Chochity my po smietniskach ci lutchozimicy to lepiej mieli, bo mieli trochę zboża, ha zchy prawie miał kromę. To tam matka miemiała rezy. Chier 18 km przez tajgę sła. Sameski wista. Chier przyiozła wiadno czydne za jalogz rez. W koncu nie było co, to poduski matka wyniosła za ziemniaki i mąkę. Później to z pierzyni dobiezła ma takie jaski, żeby jakoś przżyć, nie zginąć z głodu.

Latem to było ludki: grzyby, jagody. W lesie było normalnie jak plantacje. Pokuski czerwone, cearne. To ja już zapratywała tam dom i do sklepu, żeby sprzedać, parę rubli żeby było. Tam mnie już nie oszukali. I normę chleba dostalam. Do Ruskich ciggle chochitam. Sprzęt, dzieci pilnować. Żeby jakoś odciążyć, żeby u domu zostala ta pajka chleba. Staralam się.



jak tyłko mogłam. Tyłko za to, żeby mi troszeczkę dała zjeść. Nigdy  
 tego mi zapomniała, jak byłam w Ruski i ona mi dała na talerzyku  
 nawet czerstwą część tego talerzyka nie było - ziemniaków takich  
 smażonych. To było może ze sześć takich cienkich plasterków  
 i pół garnuszka mleka, takiego spleśniałego. Ale tam nie było  
 nic niemożliwego, żeby to nie zjeść. I jeszcze się chciało nadać mój  
 i mówić: Dzieńka, zostaw trochę Misze - jej synowi. No to ja już  
 całkiem zostawiałam. Co tu było zostawić! A ja tyłko za to prze-  
 matałam ciężko. Podłogi trzeba było piaskiem sypać. Tam na-  
 prawdę czyściutko trzymali ci Ruscy. U nas zresztą też, bo przecież nie  
 tyłko głód, ale to robactwo. Tyfus był bez przerwy, a z tej czystości  
 trochę się uchroniło. Pamiętam jak nakopaliśmy pięć wiader swoich  
 ziemniaków. Między piętami tak posadzili się. Przez zimę mama  
 mylnawata bardzo ostro, żeby to sadzić później. Pod podłogę  
 była taka jamka i tam zasypała piachem. Z tego, bo było  
 ciepło narosło młodych ziemniaków. Przecież to straszna trucizna.  
 Ja naskubatałam tego i przygotowałam. Mama była w pracy w  
 lesie. Ja i chodź bracia najmłodszym - 7; 4 lata - my to zjedli.  
 Jego było bardzo mało. To my się zatruli prawie śmiertelnie.  
 Na wiosnę mama skopata troszeczkę sitychdołek między piętami  
 i posadziła te typeczki. Z tego potrafiły wyrósć wielkie ziemniaki.  
 Taka ta ziemia jest. Ale to się ukopano 4-5 wiader. Mama  
 tak oszczędnie, że ziemniaka jednego potarta na wodę i do się  
 pochłipato. Je plery z owsa to suszyła na płycie, że to placki  
 będzie, a to się wysuszyło i rozkruszyło. Ale i to się zató. Koronki  
 się z ziemi powynuręła. Tam się nie podryło, że może się zatruci,  
 że umrze. Każdy pragnął tej śmierci. To było niemożliwe. Nawet  
 się nie miewyło, że ktoś przesyje z tajki talnie strumyczki dopłynęby

do ręki główniej. Jam sobie ci łochoznicy zebrać dali talu kore na  
ryby. To były wielkie ryby, jakieś oszupaki. Sukałiśmy pozymie-  
nia, gdzie się dają i wysukałiśmy te ich kore. I te ryby mycjo-  
im. Z początku Ruskie nie domyslałi się kto to, ale u kora nas  
zauważyli. Ja trzymałam taką ogromną rybę jak chudo  
Drugą rybę miał syn bratowej. I ten Ruskie jak to zauważył,  
to ra nani i u kryk: Oddaj rybę! A ja tak strasznie trzymałam  
tę rybę. Wiedziałam, że to jest pozymienie. Nie puszczałam. Biegłam  
i krzywałam: Mamo, mamu ratujcie! Później nam się  
just to nie udało.

Jakie brzośnie były, to też zbierałiśmy i do kerek. To  
potem zauważyło. Później mama brata trochę jagód, wortała  
ziemniaka u Tupimie i u te jagody. To takie jak kisiel było.  
Bez cukru, to mi było za co wykupić normy.

M.B.: Ja mi bytam z tobą, bo zawsze gdzieś pracowałam i po  
25 km i dalej. Z początku to dawali 80 deka chleba takim  
co pracować, a później już we wojnę, jak już nic mi było, to  
dawali tylko pół kilo. Ale jaki to był chleb!

S.D.: Normalnie jak ziemia z wodą.

M.B.: Kawaterak chleba i to już było pół kilo i więcej nic mi było.  
W domu to ja bytam bardzo mało. Tyllis też chorowalam z po-  
cztku. Prawie se umarłam. W lesie cwałno mi się w onach  
zobito i się potoczyłam. Miałam bardzo silną cwałę. Brat się wy-  
straszyl i pomiedziot, że umarłam. Do domu przyjechali, a mnie  
wtedy odeszło. Zemdlałam chyba. W szpitalu i idę, a tu ludzie  
leżą do mnie. Potem bytam z dala od rodziny, tyllis przycho-  
dzą me miedzię. Pracowałam normalnie jak chłop z piłę.  
Zżynałam choro do ławtaku. Jam były wymiany, musiało się

mierzyc. Rano wychodziłam, a nocą przychodziłam. A latem to byłam jeszcze dalej, bo 30 km od domu na splawie, tam też pracowało na wodzie, sortowało się drewno. Latem to i na siano-  
ho sach. Trzeba było kosać kosić; to słuchać w stogi. Innej  
pracy tam nie było. Tylko ten las

S.D.: Nasza bratowa - Katarzyna Ankworska miała obraz, i w tym  
obrazku nobilita talii ołtarzyk. Ona naprawdę potrafiła się  
modlić. Mogła zastąpić jakiegos' pośredniego organistę. Jak  
już nam wolno było - bo z powstaniem mi wolno było - to moje  
koleżanki chodily, bo ich zapraszałam: Chodźcie, robocynie  
jech się modlimy. Oni nie wierzyli w Boga. Jeli tam Bóg  
jest. Ale jak robocynły, że my się tak ożere modlimy, to  
one po polsku potrafiły nauczyć się modlitwy, i wierzyły, że  
jest Bóg. A jak jeszcze zaręta nas ta Ameryka trody ospo-  
magac, to już wierzyli catholicie.

M.B.: Na tyfus chorowały catholiczynie. Jacy Zychoni, Ostrowscy -  
to umarta matka, ojciec i najstarsza córka, zostaly jeszcze  
chwieci, to ich wzięli, jech nas zobienali, do domu chwiecia.  
Nie wiadomo, czy te chwieci widcily czy nie. Kto się miomni  
miał zajść, jak tu wszednie buda i haż dy miał swoje.

D.S.: Oni pewnie zapomnieli, jech się nazywali i nie widcili. Kto  
tam myślał o nich.

M.B.: Od nas zrobili taką bolnicę z barakami. Z naszej modliny  
niht mi zachorowal. Bratowie też chorowalo, ale jechos' z tego  
mysla. Barcko duso ludzi prouminalo. Nie było cmentarza. I keni  
chomeliśmy.

D.S.: Na powstaniu był na bregu rzeki, ale później zlikwidoweli, bo  
przez ten cmentarz wypadalo im drewno scięte z lasu i bel

tanyle. Drewe lecieli na breg i potem spali. Jak zlikwidowali ten ementak, to zmarł nasz ojciec i syn najmłodszy Katarzyny Antkowskiej - Franciszek. Te dwa groby wzrosteli w lesie za sosnami. Później chowali kawalek za barakiem.

M.B.: Jakimś tam był ementak. W tej Mysiakowce to chowali pomieszczenia, bo drewe były myśte, pomieszczenia lenali.

S.D.: Później już tak mi matki jak z początku, gdy nas przywieźli, bo i jeść mi było co i miłot mi być przypuszczają do takiego miłotu i klimatu. Matki dzieci poumierali. Z takich małych w z Polski jechali, to żadne mi przeżyło. Dzieci w polskich rodzinach to w ogóle się tam nie rodziły. Jak te dzieci płały: Mamo jeść, mamo chleba! A matki ginęły z głodu. Straszna rzecz, to jest mi do opisania, jak to można było przeżyć.

M.B.: Chyba że tam tylko klimat był taki, że trzymali tych ludzi. Bo to były lasy.

S.D.: Żadnych samochodów. Od czasu do czasu statek przesyłał trochę, co chyba żywność przywoził. Zimą to było ciężko, bo lód ramał bardzo grubo, zerwali siano ze stogów w lesie.

Pamiętam, jak szłam do brata Józefa 24 km - ja tamie dziecięca, że 14 lat miałam - niosłam mu dwa wiadra ziemniaków.

On tam pracował. Jak w tamtą stronę jechałam, to jeszcze był lód ramałszy. Trudno przemieszczać, a rano lód już pękł.

A ja muszę wrócić! Jak ja się bałam, jak ja się modliłam.

Bogę, utopię się, mi przejdę. Zawiosłam te ziemniaki i brat był taki szczęśliwy, bo taki był wychudzony.

M.B.: Ciężko rabrali na wojnę. A nam pomiechali, że pojedziemy w Turcję miasta.

S.D.: Nasi mężczyźni - ojcowie, bracia starali się o to, żeby rodziny wyrwać z Sybiru, żeby nas gdzieś bliżej kraju osiedlić. Jak nas zabierali z tego Sybiru, to pierwszą turę zabrali na furmanki. Przez nety przewozili tochiami, a reszta rodzin rosła. My musieli rościć, bo siostry z młodszym o rok ode mnie bratem była na siamokołach 30 km. i mi miały być dać znać. Ja się strasznie modliłam, że rośniemy. Jeszcze w 1940 r., zaraz po naszym przyjeździe pojawiła się plotka, że będą nas wywozić do kraju, ale tylko zdrowe rodziny. A u nas był chory ojciec i brat. Tak ja się modliłam w tajce, w zapamiętaniu, żeby choć starszy brat wychoriał. że to już będzie mężczyzna i że nas tam nie porzostawią. Kiedy mówiłam do baraku, to brat powiedział, że mu się polepszyło. W nocy gdy się modliłam tam o lenie, psł mi ten wród pod łokciem. Ale nadzedł maj i nic mi było słyhać o powrocie i tak minęły lata.

Jak i nas już wyrzucili, to cała męz', ile tam było tych Ruskich od najstarszego do najmłodszego, to wyrost się topili w tej rzece, bo nas tochi ogromny wyrzucili 18 km. w głąb, koni ciągnęły tę łódź. Po prostu przynajawali się do nas, i że ktoś o nas pamięta, a oni muszą tu rościć, że są już starcami do końca życia. Tak strasznie płakali za matką.

Następnie uchwyciliśmy długo na transport do Jasiejewa. Wydawano się, że o nas zapomniano i tam rościwamy. Matki zdecydowały, że ktoś musi tam pójść i się przypomnieć. A było to 50 km. Poszłam z młodszą. Kiedy dotarłyśmy na miejsce, powiedziały nam, że furmanki już wyniesły po naszej rodzinie. Choć nas namawiali, nie chciałyśmy wrócić na ich powrót. Poszłyśmy przed nich i niedługo potem spotkałyśmy się w Krusicy.

Z Jasieja nas mieli jeszcze 100 km sauschodowui do Kantsha. Podniej jechalismy 6 tygodni transportem na Donbas. W tym czasie mieli komendant transportu i zabral pieniedze. Zostalismy bez zywnosci. Przyczepiali te nasze trzy wagony do innych pociogow. Tam gdzie pociog stauget zaraz gotowato si stang fasole z dardo - to jedyne, co mieliśmy. Nigdy nie bylo wiadomo, jak dlugo nasz pociog bedzie stat. Często slyszymy masyna ryj, ze odjechala, krzywymy, biegniemy z tym garnkiem z fasolą na pociogiem. Fasola nigdy nie miata czasu zeby si dogotowac. Bardzo dugo ludzi porostawato na stajach, gdy transport rusyit. Z braku zywnosci poprostu lewacilismy - na baranach restragando ooce, jesli pociog stauget u sred pol kotchozu, to kukuryche. Na koniec przyjechalismy do Konstantinowki. To bylo jesien 1944r. Nasze trzy wagony Polakow mieli rozdzielac po sorochach. Przysito trzech dyrektorow i kazdy mial zabrac ludzi z jednego wagonu. W jednym byli dorosli, w drugim tez mozliwi do pracy, a w naszym - 6 dzieciow, ktore mogly pracowac, ale byly chude, zmarnowane, a tak to matki, mate duici i dwodek katek - jedyni dorosli mezczyzni u nas. Nie chcieli nas brac, ale cos trzeba bylo z nami zrobic. W koncu trafilismy do sorchozu nr 4 niedaleko od miasta.

M.B.: Na Ukrainie to juz bylo troche lepiej. Bo juz zeismy mi w lesi pracowaty tylnu na polu.

S.D.: Zawsze obiad dostetyismy w stodoce. Mozna bylo cos wziac, jak si przy czymis pracowato. Byto blizko do miasta, to matka poniosla na bazar i kupila jalmis papue, ciuchy. Tu juz mozna bylo przyc.

Wlas sreci dzieciow zrobito bygedo. Pracowatysmy solichnie i

dyrektor był z nas radomolony. Pierwsza praca, zaraz po przyjeździe - brata tak - kupa sto nerwów i myśmy patrzeć na mięso. Z tego robiono „postne masło” czyli olej. Przechowano dwie litry tego oleju na rożnie mięsnej. Każdy dostawał 60 deka chleba. Po Syberii to był raj. Cieny rożniony mięso było w jednym polu. My mieliśmy dwa zeharne łóżka i spaliśmy na nich w poproch jak ślepie. W kuchni mięsno, jeszcze jedna rożnina. Dyrektor lubiał mas. Często karat namu śpienie. Tam panowała plaga szurów. Robiono na mię polowanie.

Obiad w stołówce to barsz młainiśki i kawa z dynią, którą znosili się do domu. Na dozynki wszystkim robotnikom dali w oliniarnych kubeczkach trochę bimbru. Myśmy nie wiedzieli co to jest. Było się czymś odrywać - pomidory, ogórki, kurdniełka, jabłka. W nocny kradliśmy. Ruskie tak nas nauczyli. Mówili że jak się nie uśpić, to nie przycięż.

Przebrałyśmy rękawiczki. W takim oleju warstwą rękawic, warstwą rękawic i tak do góry. Na wiosnę co się zgubiło o zimie wybierano się. Za ubranie kradliśmy te rękawiczki. Były zimne i ciężkie przysbiat się. Pracowałyśmy my dwie i brat Mitek. Na wiosnę to kłopotami robiliśmy kłoty ubora. Było to poprostu, bo całą zimę pod gółym niebem. Wyrucano się to do rożnowo przysbiatowych. Podobnie z rękawicami, które zrobiono w młokach betonowych machach. Wbudowali je tam o wojny Niemcy. Tak się wszystko marnowało.

W tym szachoni pracowali jeńcy niemieccy. Szale byli przemarznięci, bo spali w stodółkach, a to było zimno, jeniec. Jeden miał takie grube, bo poprostu białe nogi i lata się z nich ropo. Oni nosili w workach na plecach brudli, rękawiczki.

Zle ich zywiono. Najgorej traktowano jeńców rumuńskich. Nie  
pozwalano im nawet usiąść przy jechaniu.

Przyjechał do nas delegat. Mówił u nas w pokoju. Dwoy  
usiadł mi na pierśi sicut. Rano mdoi do nas: To sauci  
mie macie co jesć, a trzymacie koty? Ten delegat spisat  
nas i przygotowet do podrozy. Dyrektor sowchoru powediel  
mam, ze jut mie wroćimy na swoje ziemie tyllu pojedniemyne  
wchodnie. Mdoi, zeby do niego napisac. Ale nigdzie oj  
nie napisato, czego teraz oj ratuje. Niedlugo potem nas  
zabrali. To byt luty 1946. W marcu bytyśmy jut w Polsce  
iskienowano nas do wsi Niemojów gm. Międzylesie

Mania Bukariska

Stefania Demczuk

Mania Bukariska  
ul. Górna 28  
57-522 Domaradów

Stefania Demczuk  
ul. Kolejowa 22  
57-522 Domaradów

woj. wrocławski

Relacje matrapa i spisana Małgorzata Michalek AW - Oddział Wrocław.